

Niech myśl polityczna uderzy do głowy



RAFAŁ MATYJA

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Najbardziej twórcze jednostki młodego pokolenia mogą zmarnować potencjał na budzenie energii, której obudzić się nie da. Zamiast wstrząsać szerokimi kręgami obywateli, lepiej mobilizować elity

Myśl polityczna w takiej postaci, w jakiej funkcjonowała w różnych okresach ostatnich stu lat, nie jest nikomu potrzebna. Rywalizujące o władzę partie potrzebują „swobody programowej”, a nie jakichś nadrzędnych ustaleń. Media tożsamościowe korzystają raczej z emocji i symboli niż chłodnej analizy i rzeczowych argumentów. Nie są zainteresowane nowymi diagnozami sytuacji, bo czytelnik oczekuje utwierdzenia w tych przekonaniach, które już ma, a nie pełnego niepokoju poszukiwania czegoś nowego. Myśl polityczna może przeżyć renesans tylko jako nowe narzędzie budowania rzeczywistych strategii publicznych. Tych tworzonych w cieniu patetycznych debat o historii, moralności, zdradzie i demokracji. Strategii, które mogą wpływać na konkrety legislacyjne, wydawanie publicznych pieniędzy i sposób, w jaki administracja postrzega problemy, których rozwiązanie zależy od niej samej. Dziś są one ślepe na polityczny kontekst, w jakim powstają. Myśl polityczna dostosowana do potrzeb ich tworzenia może przywrócić im wzrok i dać

poczucie własnej, realnej siły. By jednak to się stało, musi dojść do jej elementarnej odbudowy.

Pomysł na politykę

Myśl polityczna jest dziedziną, która przeżywa okresy ożywienia, po których traci na znaczeniu, wydaje się nieprzydatna. To ożywienie to zwykle nowe, znaczące diagnozy sytuacji, dobrze napisane syntezy lub nawiązania do dawnych tekstów. Dwa najważniejsze teksty powstałe w epoce popowstaniowej, „Tekę Stańczyka” i „Myśli nowoczesnego Polaka”, dzieli aż trzydzieści lat. Oba można uznać za próbę zbudowania nowej diagnozy i innego pomysłu na metodę polityki polskiej. Ich autorzy zdawali sobie sprawę z tego, że warunkiem koniecznym zaistnienia myśli politycznej jest sformułowanie jakiegoś „my”. Nawet jej wersja indywidualistyczna musi w końcu powiedzieć „my, wolne jednostki”. Gdy prześledzimy nowoczesną polską myśl polityczną, to sformułowanie owego „my” w istotny sposób przesądzało

charakter snutej na jego podstawie myśli. Tak było w przypadku „my” narodowców, które wiązało – w nowoczesny bez wątpienia sposób – przynależność do narodu z kwestią języka i świadomości oraz zdolności do wytworzenia lub odbudowania państwa. Tak było w przypadku klasowego „my” socjalistów, które wychodziło od faktu upośledzenia politycznego i ekonomicznego klasy robotniczej i w przypadku nie mniej klasowego „my” ludowców. Owo „my” pojawiało się silnie w tożsamości ruchu piłsudczykowskiego, formułując emocjonalną i romantyczną przesłankę działania dla dobra Polaków, także bez Polaków. Paradoksalnie owo nieledwie prometejskie „my” okazało się świetnie nadawać do uzasadnienia autorytarnej fazy rozwoju tego ruchu.

Silne „my” wypowiedziane w Sierpniu 1980 roku było przesłanką odrodzenia myśli politycznej w latach 80.

Silne „my”, wypowiedziane w Sierpniu 1980 roku, było przesłanką odrodzenia myśli politycznej w latach 80. Dokonywanego nieco na siłę, poprzez poszukiwanie istotnych i aktualnych motywów myśli przedwojennej, a bardzo często także – XIX-wiecznej. Kiedy Marcin Król wydał w 1982 zbiór tekstów Stańczyków, to było to coś więcej niż historyczna przebieranka. Była to propozycja przeanalizowania innej odpowiedzi na klęskę 1863 roku niż ta najbardziej w naszej kulturze upowszechniona. Ale była to także pro-

pozycja innego myślenia o Polsce lat 80., co znalazło potwierdzenie w ogłoszonych w 1984 roku wystąpieniach Grupy Publicystów Politycznych. Inspiracji poszukiwano też w myśli narodowej, piłsudczykowskiej, innych niż stańczykowski nurtach konserwatyzmu, a także zagranicą – głównie w ideach liberalnych i konserwatywnych. Myśl polityczna wyposażała owo „my” w jakiś program i metodę działania. Namawiała do walki zbrojnej, organizowania związków zawodowych lub do pracy organicznej. Formułowała diagnozę stanu społecznego i sposoby naprawy najważniejszych problemów. Analizowała położenie międzynarodowe i szukała form jego poprawy także wtedy, gdy nie było państwa polskiego, a narzędzia polityki polskiej zagranicą trzeba było dopiero stworzyć.

Transformacyjne porażki

Główny nurt ruchu Solidarności zamknął lata 80. wielkim politycznym sukcesem, któremu towarzyszyła intelektualna porażka. Próba przeniesienia doświadczeń opozycji wobec komunistów na język programu rządzenia skończyła się fiaskiem. Nie wypracowano nawet tak skromnej „ideologii” Solidarności, by w początkach transformacji ekonomicznej można było skutecznie argumentować na rzecz praw pracowniczych, bronić jakichś form partycypacji społecznej innej niż wybory, formułować oczekiwania wobec państwa w zakresie polityki rodzinnej czy zdrowotnej.

Wynikało to w dużej mierze z tego, że na solidarnościowej lewicy tę pracę zaniedbano. Legitymacją i przewodnikiem miał być ruch, jego życiowa, oddolna dynamika. W chwili, gdy doszło do konieczności zbudowania programów państwo-

wych, ten ruch okazał się niemy. Nie podpowiadał niczego poza pewnym bardzo uogólnionym standardem moralnym. Lewica straciła z pola widzenia zarówno dziedzictwo przedwojenne, jak i pewien potencjał intelektualny, jaki wynikał z doświadczenia Solidarności. Dlatego po roku 1989 pozostały jej albo indywidualna przyzwoitość – czyli droga Ryszarda Bugaja, albo przyjęcie za własny transformacyjnego volapüku, z jego neoliberalnymi dogmatami w gospodarce i obietnicą odczuwalnej poprawy, na końcu długiego marszu do Europy.

Prawica Trzeciej Rzeczypospolitej ukształtowała się jako obóz polityczny w kampanii prezydenckiej Lecha Wałęsy, jako blok chrześcijański, związkowy i antykomunistyczny. W praktyce oznaczało to ostry konflikt z liberałami i lewicą o aborcję i lustrację, krytyczny stosunek do prywatyzacji. Nie przejęła od starej prawicy ani troski o państwo, ani bardziej przenikliwej idei interesu narodowego. Jeżeli już coś dziedziczyła, to odruchy i urazy. Myśl polityczna stała się jej niepotrzebna. Czasami wracała tylko jako tło sporów historycznych: o II wojnę światową, sens powstania. Ale nigdy w kontekście spraw istotnych dla obecnego pokolenia.

Myśl polityczna poległa w starciu z logiką mediów, domagających się od publicystyki twardego „mordowania wrogów”, osadzenia w bieżących – często kilkutygodniowych – realiach, odnoszenia się do spraw, które „interesują czytelnika”. Myśl poległa w starciu z eksperckim kostiumem, w jaki chętnie ubierali się intelektualiści i doradcy. Eksperckim, czyli udającym, że programy społeczne nie posiadają warstwy przesłanek ideowych, a jedynie twardą i weryfikowalną argumentację empiryczną. Niedostrzegającym

sporów, toczonych wokół terminów takich jak rozwój, rodzina czy rynek. Przegrała też w starciu z praktyką działania partii politycznych. Partii, w których przestano dyskutować o racjach i rozwiązaniach, a skoncentrowano się na personaliach i propagandowej skuteczności. Partii, których działacze nie mówili już własnym głosem, ale wypowiadali przygotowane dla nich „przekazy dnia”.

Kto potrzebuje myśli politycznej?

Najsilniejsze „my”, jakie przetrwało z tamtych czasów, to republikańskie, z ducha „my” pierwszej Solidarności. Tej z lat 1980 – 1981. Pełne aspiracji, pragnące lepszego państwa i sprawiedliwych reguł życia społecznego. „My”, którego depozytariuszami nie są ówcześni bohaterowie, ale ci, którzy dziś próbują tworzyć je w podobny sposób. Mam jednak wątpliwości, czy jego polityczny wyraz nie wyczerpuje się w postulatach „partycypacji” i „antysystemowej” (w intencjach, nie w skutkach) reformy ordynacji wyborczej. Czy nie jest manowcami, na które skazuje myśl polityczną historyczna grawitacja? Wszak wspomniane wcześniej książki Stańczyków i Dmowskiego wychodziły od zakwestionowania tej kulturowo dominującej wizji „my”, od ostrej krytyki powiązanej z nim politycznej metody.

Może zatem warto poszukać raczej punktu zerwania niż punktu kontynuacji. Uznać, że obywatelska energia nie jest w stanie napędzać dziś pozytywnych działań. I jakkolwiek powinna być bardziej brana pod uwagę w codziennym funkcjonowaniu państwa, to nie ona stanowi punkt wyjścia dla nowego myślenia o nim. Może warto poszukać „my”, które zamiast mobilizować szerokie kręgi obywateli, pozwoli na mobilizację elit – do dokonania

zasadniczej naprawy instytucji, usprawnienia państwa, zbudowania lepszej doktryny ustrojowej i lepszego pomysłu na funkcjonowanie w ramach konstrukcji europejskiej. Świadomie proponuję na łamach pisma republikańsko-obywatelskiego porzucenie lub choćby zawieszenie tej wizji wspólnoty politycznej i tej wizji politycznych metod, które określają jego tożsamość.

Szukajmy „my” na górze...

Dlaczego? Bo może okazać się, że potencjał najbardziej twórczych jednostek młodego pokolenia zostanie zmarnowany na rojenie nadziei na obudzenie energii, której obudzić się nie da. Że jest mrzonką, która wprawdzie ma pewien potencjał krytyczny, ale w niewielkim stopniu pozwala na stworzenie konkurencyjnego programu dla struktur państwa realnego.

Jeżeli zatem przyjmujemy pewne minimalistyczne założenie, że o wadze myśli politycznej decyduje nie jej intelektualna szlachetność, ale możliwość wpływania na rzeczywistość, to warto zacząć ją tworzyć dla kogo innego, w inny sposób i z innymi założeniami. Może zamiast szukać sposobu skonstruowania lepszej ordynacji, w wyniku której i tak w polityce znajdują się mniej więcej ci sami, co dziś ludzie, sensowniej jest napisać instrukcję dla tych struktur państwa, które funkcjonują dziś w intelektualnej próżni. Może zamiast wielkiego obywatelskiego „my”, które wyrwie kolejne grosze na „budżety obywatelskie” w miastach, pozostawiając strategiczne decyzje wąskiemu kręgom ratuszowych urzędników i polityków, lepiej stworzyć „my”, które sformułuje założenia nowej polityki miejskiej państwa.

Myśli politycznej określającej podstawowe kierunki działania bardziej po-

trzebuje aparat państwowy, polska dyplomacja i armia, polski samorząd terytorialny i sternicy polityki przemysłowej niż pozbawieni realnego wpływu na cokolwiek obywatele. Bez wyraźnego impulsu z zewnątrz struktury państwa nadal pozostaną w stanie dryfu, w którym znajdują się od co najmniej dekady.

Ktokolwiek pisał w Polsce strategię, używał tego samego eksperckiego volapüku, głuchego na jakąkolwiek intelektualną tradycję

Obecny zły stan rzeczy ma swoje korzenie w przeszłości. Realny program wielu gabinetów z lat 90. oparty był na agendzie zewnętrznej – zbiorze podpowiedzi, sugestii, perswazji wypowiedzianych przez zachodnich doradców, instytucje finansowe, potem także struktury NATO i UE, określające warunki naszego członkostwa. Także po 2004 roku liczne strategie nie zdradzają cienia odniesień do myśli politycznej – nawet w tak skromnym stanie, w jakim znalazła się ona w początkach XXI wieku – a raczej nawiązania do modnych tez i sformułowań z zachodniego świata akademickiego i eksperckiego. Ktokolwiek pisał w Polsce strategię, używał tego samego eksperckiego volapüku, głuchego na jakąkolwiek intelektualną tradycję.

Struktury państwa pracowały zatem w wygodnej dla siebie intelektualnej próżni. Strategiczne przesłanki wykorzystywania funduszy europejskich nie były

poddawane politycznej (nie partyjnej, ale właśnie formułowanej na poziomie różnych wizji przyszłości Polski) ocenie. Porównanie dokumentów przygotowywanych przez SLD, PO czy PiS pozwala łatwo ustalić, że nie sformułowano wobec nich żadnej nadrzędnej doktryny, o którą warto się spierać. Wszystkie ekipy użyły do pisania strategii tego samego martwego języka. Wyposażyły administrację i służby państwa w doktrynę równie martwą, jak oficjalny socjalizm lat 80.

...ale nie za wysoko

Tymczasem to „my” powinno realnie oceniać aktywne czynniki polityki polskiej w chwili obecnej i szukać takiej metody, która pozwoli im działać w sposób skoordynowany, przynajmniej intelektualnie. Operować sensowną polityczną diagnozą rzeczywistości, dającą się przełożyć na język praktyki i adekwatną do międzynarodowych, ekonomicznych i społecznych realiów. I nie chodzi tu koniecznie o polityków najwyższego szczebla.

Nie twierdzą, że w polu polityki partyjno-parlamentarnej nic wartościowego nie powstanie. Od każdej reguły są wyjątki – dobrzy posłowie, senatorowie, mi-

nistrowie. Ale stawianie na tę sferę, jako przestrzeń, z której w sposób naturalny wyjdą inicjatywy naprawy państwa, jest błędem. Lepiej przekonać ów średni szczebel decyzyjny, usytuowany zaraz poniżej nadętych przekonaniem o własnej politycznej mądrości ministrów, że trzeba to zmienić. Że dalsze orientowanie się na agendę zewnętrzną to nie tylko gwarancja dryfu rozwojowego, ale także dryfu w złą stronę. Warto pokazać im też to, że dobrze skonstruowana myśl polityczna mogłaby być językiem komunikacji między oderwanymi od siebie dziś fragmentami naszej rzeczywistości, jaki tworzą działające według rozmaitej logiki resortowej instytucje publiczne. Taki funkcjonalny aspekt myśli politycznej, dający nadzieję na to, że np. dyplomacja kulturalna będzie wyposażona w tę samą diagnozę współczesności, co instytucje zajmujące się promocją polskich specjalności eksportowych, to argument, który odnosi się bezpośrednio do ich pracy.

Uznanie, że myśl polityczna nie jest dziś narzędziem mobilizacji mas, językiem scalającym wielkie ruchy polityczne, że nie stanowi też intelektualnego zaplecza debaty publicznej, nie musi być punktem wyjścia do uznania jej upadku, ale przeciwnie – do odrodzenia w nowym wcieleniu.